

Warto mieć otwartą głowę

Z Michałem Brezdeniem - podróżnikiem i autorem blogów "W sandałach para" i "Nie tylko o podróżach" - rozmawia xxx

- Ludzie są lepsi niż nam się wydaje?

- Tak, jak najbardziej. W Polsce mamy sporo uprzedzeń, szczególnie wobec Wschodu, a konkretnie Azji, której jestem fanem. Jesteśmy zamknięci w tym naszym europejskim pępku świata i boimy się wszystkiego, co jest na wschód od nas. Dzieje się tak, ponieważ nie znamy tych terenów. Gdy zdecydujemy się jednak tam pojechać, to nagle zobaczymy ludzi o wiele bardziej otwartych. To jest taka kultura, w której bardzo dużo czasu spędza się z rodziną czy z przyjaciółmi. Ta otwartość przekłada się też na turystów. Podróżowałem autostopem np. przez Iran czy Izrael i zawsze przed wyjazdem słyszałem, że to niebezpieczne kierunki. A rzeczywistość była taka, że czasami tam czułem się bardziej bezpiecznie niż w Polsce. Gdy człowiek nabierze trochę doświadczenia, to z łatwością rozróżni osobę, która jest godna zaufania, od tej, na którą lepiej uważać. Wracając do sedna - tak, uważam, że ludzie są lepsi niż nam się wydaje, chcą nam pomagać, a my często niepotrzebnie nastawiamy się do drugiego człowieka z uprzedzeniem.

- Większość z nas zapewne naturalnie spogląda w kierunku Zachodu, bo tam widzi kraje lepiej rozwinięte od naszego.

- Porównujemy się do tych najbogatszych na świecie, chcemy im dorównać i nie podoba nam się, że jesteśmy trochę za nimi. Ale dla Afryki czy większości Azji jesteśmy bogatym krajem, centrum świata. Wystarczy tam powiedzieć komuś, że graniczymy z Niemcami - każdy będzie przekonany, że u nas jest dokładnie tak samo jak w Niemczech.

- Na pewno trudniej nam nabrać takiej perspektywy, gdy nigdy nie widzieliśmy, jak wygląda życie w krajach np. Bliskiego Wschodu.

- Pamiętajmy, że kraje zdecydowanie gorzej rozwinięte od naszego tworzą większość świata. Mamy taką naturę, że narzekamy i porównujemy się do tych największych na świecie. A skoro trochę nam do nich brakuje, to przyjmujemy postawę sugerującą, że u nas nic nie działa dobrze. Zapewniam jednak, że wystarczy pojechać trochę dalej na Wschód i opowiedzieć ludziom, że można u nas studiować za darmo, że opieka zdrowotna - bez względu na to, jak ją oceniamy - jest darmowa. Poza tym czujemy się bezpiecznie, nie ma wybuchów, zamachów, człowiek może prowadzić działalność gospodarczą, robić to, co chce. W wielu państwach to jest abstrakcja. Mam znajomych w różnych częściach świata. Część z nich prowadzi małe przedsiębiorstwa i płacenie haraczu lokalnym grupom mafijnym jest całkowicie normalne. Nie brakuje miejsc, w których państwo ogranicza się tylko do wojska, a reszta jest zależna od tego, jak sam sobie poradzisz. Zachorujesz, potrzebujesz operacji? Płać grube pieniądze. Studia? Idą tylko najbogatsi. Odwiedzając te biedniejsze rejony świata można się trochę oduczyć tego naszego polskiego narzekania.

- Nabrałeś tej perspektywy dopiero podczas podróży?

- To na pewno pomaga, choć chyba nigdy nie byłem osobą, która narzekałaby na wszystko, ale nie da się ukryć, że zestawienie biedniejszych krajów z Polską, spędzenie kilku miesięcy na Wschodzie na pewno pozwala mi dziś inaczej patrzeć na wiele kwestii.

- **Znasz taki internetowy vlog podróżniczy jak "Bez Planu"?**

- Tak.

- **Autor tego kanału ponad rok spędził na Filipinach. Teraz, po powrocie do Polski, zachwycają go bardzo przyziemne sprawy czy rozwiązania, które z mojej perspektywy nie są niczym nadzwyczajnym.**

- No i właśnie to jest ta perspektywa, o której mówię. Swoją drogą też byłem na Filipinach i nie chciałbym tam wrócić. Z jednej strony, widokowo mamy raj na ziemi, idylliczne plaże i piękne palmy, a jeśli chodzi o to, jak wygląda tam życie, to ciężko się na to patrzy. Kontrasty są potężne. Jest wąska grupa najbogatszych - polityków czy biznesmenów - oraz bardzo biedna reszta. Nie ma żadnej klasy średniej, 1% najbogatszych i 99% biednych. Manila jest dla mnie najgorszym miastem na świecie. Mieszka tam kilka milionów ludzi, są strefy dla bogatych i ludzi z Europy lub Stanów Zjednoczonych, a sto metrów dalej są grupy śpiące na kartonach pod wiaduktami. Byłem w wielu krajach i nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego, jak na Filipinach. Pamiętam, że gdy siedzieliśmy w tanim barze i jedli ryż za 5-6 zł, w pewnym momencie wpadła banda dzieciaków, którzy albo zabierali całe dania, albo wsadzali ręce do jedzenia. Nie wiedziałem, jak się w takiej sytuacji zachować. Bez problemu znajdziemy tam też cmentarze, na których mieszkają ludzie, ponieważ bogatsi mają swoje groby i wynajmują biedne osoby, aby się nimi opiekowały w zamian za to, że będą mogły tam mieszkać.

- **Większość osób, wybierających się na Filipiny, korzysta z ofert biur podróży, które dbają o to, by pokazać turystom raj, niekoniecznie skupiając się na drugiej stronie medalu.**

- Zgadza się. A wystarczy przejść się np. na przystanek autobusowy, choć i to nie jest takie oczywiste, bo zwykle nie wiadomo, skąd odjeżdża autobus w dane miejsce. Wygląda to tak, że trzeba pytać ludzi, bo nie ma żadnych rozkładów jazdy. Ciekawostka jest też taka, że Filipińczycy są dużo niżsi od nas. Sam mam 180 cm, czyli na nasze standardy nie jestem bardzo wysoki. Tam busiki są tak niskie, że najczęściej musiałem stać z głową pochyloną. Wracając jeszcze do tych narzekań na Polskę - fakt, pociągi się spóźniają, ale pojedźmy do takiego Wrocławia - tramwaje, autobusy, taksówki zamawiane przez aplikację, za wszystko płacimy kartą. Wielu powiedziałoby, że to bajka. A w niektórych rozwiązaniach elektronicznych wyprzedzamy niektóre kraje Zachodu. Spróbuj w małej niemieckiej wiosce zapłacić kartą. Nie da się, tylko gotówka. U nas terminal zobaczysz już praktycznie wszędzie.

- **Podróżowanie po świecie stało się też prostsze.**

- Pandemia trochę to ograniczyła, ale tak, ułatwiają nam to aplikacje i strony internetowe. Kiedyś trzeba było iść do biura lotniczego, by kupić bilet na samolot. Dziś prawie nikt nie robi tego w ten sposób. Także przez to zdecydowanie więcej osób podróżuje. Poza tym znamy języki, więc świat naturalnie stał się bardziej otwarty...

- **A nawet jeśli nie znamy, to od tego też są aplikacje. Poza tym siedząc w domu w Polsce możemy się do podróży przygotować tak szczegółowo, że już na miejscu język obcy prawie w ogóle nam się nie przyda.**

- Dlatego jest teraz taki trend powrotu do podróżowania w dawnym stylu. Sam jestem fanem map papierowych i chętnie z nich korzystam, nawet jeśli to samo znajdę w telefonie. Są też ludzie, którzy przed wyjazdem celowo nie robią żadnego researchu, na miejscu nie kupują karty z lokalnym internetem i są zmuszeni do tego, by rozmawiać z ludźmi. To pewnego rodzaju powrót do

korzeni. Mam wrażenie, że choć aplikacje nam bardzo pomagają, to wytwarzają też barierę. Skoro mogę coś szybko znaleźć w sieci, to po co mam podchodzić i pytać kogoś lokalnego? W innym przypadku zrobiłbym to bez wahania, bo nie miałbym wyboru. Jest duża szansa, że ten ktoś nie znałby angielskiego, a i tak musielibyśmy się dogadać. Być może więc on zadzwoniłby do jakiegoś znajomego, który po angielsku coś mówi, być może podszedłby do nas ktoś jeszcze i wspólnie rozwiązywaliśmy ten problem np. godzinę. Potem mogłoby się to zakończyć zaproszeniem na kawę czy herbatę, czyli poznaniem kolejnych ludzi, co podczas podróży bywa najbardziej wartościowe. Dużo jeździmy z żoną autostopem i to jest najlepszy sposób na interakcje. Byliśmy zapraszani na obiady, proponowano nam noclegi, zbliżaliśmy się w ten sposób do mieszkańców danego kraju. Oczywiście wychodziliśmy trochę ze strefy komfortu, ale dzięki temu łatwiej było o spotkania.

- W pierwszym wpisie na blogu "W sandałach para" napisałeś o obawach przed wyjazdem do Gruzji w 2012 roku. Czym wtedy były dla Ciebie podróże?

- Na mniejszą skalę podróżowałem zawsze. Odkąd pamiętam z rodzicami wyjeżdżaliśmy na wakacje w góry czy nad jezioro. Potem gdzieś w okolicach liceum i studiów zaczęły się podróże samodzielne, w tym też wyjazdy zagraniczne. Gruzja w 2012 roku to była moja najdalsza w tamtej chwili podróż. Kierunek, w którym jest już nieco inaczej niż na zachodzie czy południu Europy. Kraj, w którym sam angielski już nie wystarczy. Oczywiście lubią tam Polaków, ale trzeba mieć świadomość, że w razie problemów do domu tak szybko się nie wróci. Pojawiały się więc jakieś obawy, ale chęć poznawania świata i poznawania siebie w różnych sytuacjach sprawiała, że ciągnęło mnie na wschód. Chciałem zobaczyć, jak zachowam się w trudniejszych sytuacjach - czy spanikuję, czy będę próbował się odnaleźć. I wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że podróże są najlepszą szkołą życia. Uważam tak do dziś.

- Jaką cechę odkryłeś w sobie podczas podróży?

- Nie wiem, czy odkryłem jakąś nową, ale na pewno kilku nie byłem do końca świadomy. Chodzi mi na przykład o wytrzymałość w górach. Wcześniej sporo chodziłem po Tatrach, ale nie wiedziałem, jak się sprawdzę na kilkudniowych szlakach na wysokości 4-5 tysięcy metrów. Okazało się, że to doświadczenie zdobyte wcześniej w niższych górach się przydaje, jakieś predyspozycje mam i większe wymagania mnie nie powstrzymują. Na pewno podczas podróży bardziej rozwinąłem też umiejętności społeczne. W dzisiejszych czasach najłatwiej jest napisać komuś SMS, czy skontaktować się przez komunikator. Bywałem jednak w takich miejscach, gdzie zasięgu internetowego nie było w ogóle albo był bardzo słaby, więc ludzie cały czas do siebie dzwonili. Inaczej nie dało się niczego dowiedzieć. W moim przypadku to często były telefony do ludzi, którzy nie znali angielskiego. Musiałem więc albo bardzo szybko nauczyć się kilku podstawowych słów w ich języku, albo dać im czas na znalezienie wśród swoich bliskich kogoś, kto cokolwiek rozumie po angielsku.

- Znamy stereotypy na temat poszczególnych krajów. Na twoim blogu czytałem o Libanie, państwie kojarzonym między innymi z Hezbollahem. Pojechałeś tam, choć pewnie wielu ci odradzało. Co tam zastałeś?

- Zacznę od tego, że nie mam w domu telewizora, co jest jakąś formą ucieczki od rozwijania w głowie stereotypów. Sam dobieram sobie treści, które śledzę, ale nie da się ukryć, że wybierając się na Bliski Wschód trudno jest uciec od tych negatywnych przekazów. Iran? Bomba atomowa i terroryści, a w rzeczywistości jeden z najbardziej otwartych krajów na świecie, gdzie ludzie są

przesympatyczni. Liban? Raczej też nie kojarzy się zbyt dobrze. Jest przecież Hezbollah, który robi, co chce. Oczywiście coś w tym też jest, mamy tam tygiel kulturowo-religijny i to wszystko jakoś razem funkcjonuje, co nie oznacza, że nie ma żadnych niebezpieczeństw. Dla tych ludzi wybuchająca w okolicy bomba jest informacją, że trzeba będzie pojechać objazdem. Dla nas to abstrakcja, ale gdy jest się tam na miejscu kilka tygodni, słucha się alarmów i różnych historii, to w pewnym momencie da się do tego przywyknąć. Wydaje mi się też, że w niektórych krajach wartość ludzkiego życia jest mniejsza niż u nas. Przykładowo Filipiny są mocno przeludnione, każdego roku 1,5 miliona Filipińczyków przychodzi na świat, ludzie mają dużo dzieci, część z nich choruje, potem umiera, więc to oswojenie ze śmiercią jest na innym poziomie. U nas rodziny są zdecydowanie mniejsze, więc naturalnie każda jednostka stanowi dla nas ogromną wartość. Wracając do tematu stereotypów, wychodzę z założenia, że najlepiej samemu poznać różne punkty widzenia, a potem do danego miejsca pojechać i rozmawiać z ludźmi, którzy żyją tam na co dzień. Jak jesteśmy w Libanie, to nie rozmawiamy tylko z chrześcijanami, którzy naturalnie będą nam bliżsi. Porozmawiamy z muzułmanami. Poznajmy różne punkty widzenia, bo świat jest skomplikowany, a to, że żyjemy w tej bardziej poukładanej jego części, nie oznacza, że tak jest wszędzie.

- I znów wracamy do braku perspektywy.

- Często ludzie pytali mnie, jakie mamy w Polsce mniejszości religijne albo narodowe. No, nie mamy ich zbyt wiele. W krajach arabskich ludzie kojarzyli Polskę z Żydami, którzy przed II wojną światową stanowili znaczną część społeczeństwa. Czy w naszym kraju żyje teraz dużo Żydów? My w ogóle nie żyjemy takimi pytaniami, a są miejsce na świecie, gdzie ta kwestia stanowi pierwsze skojarzenie.

- Byłeś w Libanie już podczas trwania wojny w Syrii. Nie budził twoich obaw fakt, że Liban graniczy z Syrią?

- To był 2013 rok, pierwsze lata tej wojny. Gdy komuś mówiłem, gdzie się wybieram, wszyscy mówili o Syrii. Libańczycy w tamtym czasie jednak nie odczuwali mocno tego konfliktu. Nie było tylu uchodźców, nikt w Libanie jakoś przesadnie nie żył tym, co działo się te 300 kilometrów dalej. Z naszej polskiej perspektywy to jeden region, więc ludziom wydawało się, że jadę na tereny objęte wojną. Oczywiście byłem blisko i zawsze należało brać pod uwagę możliwe ryzyko. Ukraina też jeszcze niedawno była w pełni bezpieczna...

- No właśnie. Dziś jesteśmy w podobnej sytuacji. Za naszą wschodnią granicą trwa inwazja rosyjska i choć w pierwszych miesiącach wojny mocno żyliśmy tym tematem, to teraz wszyscy, jakkolwiek źle to zabrzmiał, trochę się przyzwyczailiśmy do tego, co tam się dzieje.

- Nie ma już codziennych informacji o wybuchach, a już na pewno nie słyszymy o tym w takiej skali jak na początku. To nie oznacza, że nie giną ludzie, że skończyła się tragedia. To wciąż się dzieje, ale mamy taką naturę, że do wszystkiego możemy się przyzwyczaić.

- "Libańczycy to jedni z najradośniejszych, pełnych życia, szukających okazji do zabawy nacji, dla których jednego dnia wojna, a drugiego dnia zabawa, nie jest czymś abstrakcyjnym" - to cytat z twojego bloga, o którym można porozmawiać także w kontekście sytuacji w Ukrainie. Nie brak głosów, zwłaszcza w sieci, że dziś Ukraińcom nie wypada się nawet uśmiechać. Nie mówiąc już nawet o zabawie...

- Na szczęście żyjemy w kraju, w którym wojny nie ma. Niektórzy jednak nie potrafią zrozumieć, że tam, gdzie ta tragedia się dzieje, ludzie również szukają chociaż namiastki normalności. Po pierwsze, człowiek nie może wojować przez cały czas, a po drugie na froncie jest tylko kilka procent. Reszta pracuje także po to, by żołnierz schodzący z linii frontu miał odpowiednią opiekę, otrzymał leki itp. W Libanie podczas wojny domowej w ciągu dnia do siebie strzelano, a potem obie strony konfliktu spotykały się na imprezach. Wojna jest tam tematem, który ciągle wraca. Bombardowanie Izraela w 2006 roku, wojna domowa w latach osiemdziesiątych... każdy Libańczyk ma takie przeżycia. Co kilkanaście, czasem kilkadziesiąt lat coś się dzieje. W Polsce, poza coraz mniejszą grupą najstarszych osób, nie pamiętamy już wojen. Wpadliśmy w pułapkę bezpieczeństwa i pokoju, zapominając nieco o tym, jaka bywa ludzka natura. Łatwo nam jest więc komentować to, że widzimy Ukraińców, siedzących w piątek w polskich knajpach. Być może uciekli, być może byli tu już wcześniej, ale mało kto się zastanawia, jaka mogła być ich historia. I pojawiają się opinie, że powinni wracać, iść na front. Tylko, że życie nie jest czarno-białe. Człowiek zawsze będzie szukał odskoczni, nawet od tej najtragiczniejszej codzienności.

- Nie chciałbym stawać przed wyborem: walka lub ucieczka z najbliższą rodziną. A o takich dylematach mówimy.

- Czuję dokładnie to samo. Mamy szczęście, że nie jesteśmy stawiani w takich sytuacjach. W wielu krajach ludzie muszą podejmować najtrudniejsze wybory. Zostawiają wszystko i uciekają albo zostają, nie wiedząc czy kolejnego dnia ktoś nie zbombarduje im domu. Szczerze mówiąc nie wiem, co sam bym zrobił. Czasami sugeruje się Polakom romantyczną naturę i pewnie coś w tym jest, ale gdy człowiek z jednej strony postawi państwo i naród, a z drugiej strony swoją najbliższą rodzinę, to może podjąć różne decyzje. I one nie powinny być negowane przez tych, którzy nie musieli ich podejmować. Niestety, bardzo łatwo się krytykuje tych, którzy otwarcie mówią, że postawiliby na ucieczkę.

- Zastanawiałeś się nad tym, co sam byś zrobił?

- Tak, ale odpowiedź brzmi: nie wiem. Mam wielu znajomych, którzy mówią podobnie, ale też takich, którzy otwarcie przyznają, że próbowaliby uciec, bo najważniejsza jest dla nich najbliższa rodzina, którą chcieliby chronić ponad wszystko. To nie oznacza, że zapomnieli o tym, że są Polakami. Po prostu coś innego byłoby dla nich ważniejsze, każdy z nas jest inny i nie powinniśmy tego krytykować.

- W 2016 roku byłeś na prawie półrocznej podróży przez Azję.

- Właściwie to na przełomie 2015 i 2016. To była podróż poślubna. Wraz z żoną, a wcześniej narzeczoną, mieliśmy już pewne doświadczenie w podróżach i wiedzieliśmy, że chcemy zrobić coś większego. Pozamykaliśmy nasze tematy w Polsce, włącznie z rezygnacją z pracy, bo nikt takiego urlopu by nam nie dał. Nie nastawialiśmy się na to, że będzie to trwało dwa, cztery czy sześć miesięcy, a ostatecznie wyszło pół roku. Zaczęliśmy w Gruzji, potem była Armenia, Górski Karabach, Iran, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Oman, Nepal, Malezja i finisz na Filipinach.

- Jak się przygotować do takiej podróży?

- Na pewno ciężko to zrobić tak z marszu. Gdyby ktoś nigdy wcześniej nie jeździł i nagle stwierdził, że wyjedzie na pół roku do Azji, by tam podróżować autostopem, miałby sporo trudności. Trzeba mieć trochę doświadczenia, żeby wiedzieć jak się poruszać, jak się dogadywać i jak reagować w sytuacjach, w których należy się wycofać. Takie doświadczenie buduje się dzięki wcześniejszym,

mniejszym podróżom. Na pewno pomaga też czytanie książek i blogów o miejscach, do których się wybieramy. A już na miejscu otwarta głowa, chęć spotkania się z ludźmi, gotowość na wyjście ze strefy komfortu i to tyle.

- Rozumiem, że mieliście tylko bilety lotnicze do Gruzji, a potem życie pisało scenariusz?

- Tak, chcieliśmy zacząć od Gruzji, bo byliśmy tam już dwa razy, postanowiliśmy więc, że odwiedzimy znane miejsca, wybierzemy się do ulubionej restauracji z chinkali i pomyślimy, co dalej. Wcześniej załatwiliśmy sobie wizę do Iranu, bo tam były wpisane konkretne terminy i tylko to nas ograniczało. Stwierdziliśmy, że po Iranie zobaczymy wielki Dubaj, a potem coś wymyślimy. Motywem przewodnim były górskie osiągnięcia. Dużo chodzimy po górach, więc chcieliśmy zdobyć kilka szczytów, m.in. w Gruzji, Armenii i Iranie.

- Podobno chcieliście też sprawdzić czy Iran to faktycznie niebezpieczny kraj, pałający nienawiścią do Zachodu. Czego się dowiedzieliście?

- Że w linii politycznej to być może, ale zwykli Irańczycy tacy nie są. Wręcz przeciwnie, ten cały stereotyp, który my poznajemy z mediów, oni starają się odwrócić do góry nogami. Iran to dla mnie najbardziej gościnny kraj na świecie. Nie ma tam wielu turystów, więc jeśli ktoś już zna angielski, to bardzo chce się sprawdzić w rozmowie z obcokrajowcem i przy okazji pokazać dobrą twarz Iranu. Spędziliśmy tam miesiąc, a przez 27 czy 28 dni spaliśmy w domach u ludzi, którzy nas zaczepiali na ulicy i zapraszali do siebie. Taka bezpośrednia propozycja może w pierwszej chwili zaniepokoić, ale byliśmy już po dwóch miesiącach podróży, więc zaufanie do ludzi trochę nam się powiększyło.

- Dlaczego zależy im na pokazywaniu Iranu w dobrym świetle? To element patriotyzmu?

- Oni są bardzo dumni ze swojego kraju i swojej cywilizacji. Często podkreślają, że nie są Arabami, tylko Persami. Przy tym często mówią, że nienawidzą Arabów, bo w ich opinii to jest ktoś zupełnie inny. Wiedzą jednak, jaki jest obraz bliskowschodniego świata w zagranicznych telewizjach słyszą, co mówi się o Iranie i starają się ten zakrzywiony obraz prostować. Przeczytałem gdzieś kiedyś, że w Iranie w mieście nie da się usiąść w parku i posiedzieć więcej niż dwie minuty samemu. Dziś mogę to potwierdzić. Wystarczy, że ktoś zauważy, że jesteś z Europy i od razu podejdzie, by cię przywitać w kraju, zapytać, skąd jesteś, zaproponować pomoc. Czasami bywało to aż uciążliwe.

- W swoich podróżach mocno polegasz na spotkanych ludziach. Miałeś takie sytuacje, w których cię zawiedli lub doprowadzili do sytuacji niebezpiecznych?

- Na Filipinach praktycznie nie podróżowaliśmy autostopem, bo się nie dało. Bogaci mają samochody, ale ich jest mało, a biedniejsi podróżują autobusami. W tym kraju trudniej nam było zapytać o cokolwiek, czy poprosić o pomoc, bo czuliśmy, że z ich perspektywy to my jesteśmy ci bogatsi. Czuliśmy się więc głupio, prosząc kogoś o nocleg. I tam faktycznie najczęściej płaciliśmy za lokum albo spaliśmy u znajomych. W takich krajach jak Nepal czy Filipiny wciąż istnieje stereotyp bogatego Europejczyka i Amerykanina, więc niektórzy są zdecydowanie bardziej nastawieni na wyciągnięcie kasy. Jeśli chodzi o sytuacje niebezpieczne, to kiedyś podczas autostopu kierowca koniecznie chciał zobaczyć nasze paszporty. Czuliśmy, że coś tu nie gra, więc odpuściliśmy podróż z nim. Innym razem w Iranie zatrzymało się trzech mężczyzn, a my staraliśmy się trzymać zasady, że nie wsiadamy do samochodów, w których jedzie co najmniej dwóch mężczyzn - wsiadamy, jeśli jest jeden, kobieta lub rodzina. W tamtej sytuacji próbowaliśmy wytłumaczyć tym panom, że nie jedziemy, ale bardzo nas naciskali. Jeden z nich zaczął opowiadać,

że jest bardzo religijny, pokazywał nam zdjęcia z meczetu w charakterystycznym stroju, przekonywał, że jest kimś ważnym i nie ma złych zamiarów. Ostatecznie się zgodziliśmy i kawałek podjechaliśmy. Wyszło na to, że to byli super otwarci ludzie, faktycznie bardzo religijni, którzy chcieli się dowiedzieć, czy jesteśmy chrześcijanami, jaka jest nasza religia i co robimy w Iranie. Potem zawieźli nas w najbardziej bezpieczne miejsce w mieście, czyli do meczetu. Powiedzieli, że tu zawsze dostaniemy jedzenie i będziemy mogli się umyć, czy przenocować, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Czyli pochopnie ich oceniliście.

- Staramy się być otwarci, ale czasami stereotyp złego islamu bierze górę. I znów trzeba podkreślić, że radykałowie też istnieją, ale zdecydowana większość muzułmanów interpretuje tę religię w sposób tolerancyjny i neutralny dla nas.

- Na inny cel swojej podróży obrałeś Nową Zelandię. Tam na własne oczy zobaczyłeś postępujące globalne ocieplenie. Chodzi mi oczywiście o topniejące lodowce.

- To niestety jedne z najszybciej topniejących lodowców na świecie. Ubywa ich od kilkudziesięciu do kilkuset metrów w ciągu roku. Są tam też potężne jeziora, które powstały w latach siedemdziesiątych, nie było ich wcześniej. Na starych zdjęciach łatwo zobaczyć kolosalne różnice między tym, jak lodowce wyglądały wtedy, a jak wyglądają teraz.

- Jak podchodzi się do tematu zmian klimatycznych w kraju, w którym są one bardzo wyraźnie widoczne gołym okiem?

- Ludzie tam są świadomi, że ich mały kraj ma niewielki wpływ na cały świat, ale starają się robić wszystko, by mocno chronić swoją przyrodę. Mam wrażenie, że pewną część swojej przyrody wydzielili i perfekcyjnie przygotowali pod turystów, a resztę zachowali dla siebie i utrudnili dostęp. Jest tam osiem czy dziewięć parków narodowych, w których miejsca trzeba rezerwować kilka miesięcy wcześniej, bo dziennie nie wpuszczają tam wielu osób. Przykładowo w jednym dniu wchodzi kilkadziesiąt osób i koniec.

- Limitują, by ludzie tego nie zdeptali?

- Tak. W Nowej Zelandii mało jest miejsca na spontaniczność. Podróżuje się bardzo łatwo, ale wiele rzeczy trzeba załatwić dużo wcześniej. Raczej nie ma sensu tam jechać bez żadnego planu, bo nagle może się okazać, że bez wcześniejszego przygotowania niewiele zobaczymy. Jest to też bogaty kraj, więc trudniej nawiązywać kontakty z ludźmi, dla których Europejczyk nie jest żadną atrakcją, ponieważ oni do Europy chętnie podróżują i sporo już widzieli.

- Który z kilkudziesięciu odwiedzonych krajów, najbardziej cię zaskoczył?

- Negatywnie na pewno Filipiny - wiedziałem, że to jest kraj kontrastów, ale nie wiedziałem, że aż tak. Pozytywnie zdecydowanie Iran. Czuję, że stereotypy są na wyrost, ale to, ile dobroci serca tam spotkałem - w życiu nie pomyślałbym, że będzie tego aż tyle. Do dziś mam kontakt z ludźmi z Iranu, którzy regularnie do mnie piszą i zapraszają do siebie. Chciałbym, by mogli przyjechać też do Polski, ale ciężko im dostać wizy do Europy plus w wielu przypadkach ich po prostu nie stać.

- Wróćmy do Polski. Na twoim blogu widać przeplatanie podróży zagranicznych i krajowych. Byłeś w różnych zakątkach świata, ale wciąż potrafisz doceniać te krajobrazy, które mamy na wyciągnięcie ręki.

- Podróżując po Bliskim Wschodzie nauczyłem się je doceniać jeszcze bardziej. Opowiadałem ludziom, co ciekawego można u nas zobaczyć, wszyscy robili wielkie oczy i mówili "wow!". Dla nich to nie jest takie oczywiste, że są tu zamki, które mają kilkaset lat czy stare miasta, wyglądające jak te w Krakowie czy we Wrocławiu. Oprócz tego góry, morze, jeziora, rzeki. Pływamy na kajakach, latem świeci słońce, zimą pada śnieg. Dla ludzi z południa Iranu to niewyobrażalne, że to wszystko może być w jednym miejscu. Oni widzieli tylko pustynię i nic więcej. Wydarzeniem jest wycieczka na północ, gdzie czasami pada deszcz, są pola ryżowe i góry. Udało mi się do Polski ściągnąć znajomych z Malezji i z ich perspektywy niezwykle ciekawa jest nasza historia zapisana w architekturze. Na Filipinach najstarszy budynek jest z XVII czy XVIII wieku. Dlatego zawsze będę powtarzał, że w Polsce można spotkać mnóstwo ciekawych rzeczy.

- Starasz się zachęcać w sieci do odkrywania Dolnego Śląska. Lokalny patriotyzm?

- Obcokrajowcy najczęściej kojarzą Polskę z Krakowem, Warszawą czy Gdańskiem. Uważam, że Dolny Śląsk ma w sobie coś wyjątkowego. Z Oławy możemy sobie w 1,5 godziny dotrzeć w Góry Sowie, a w 2 godziny w Karkonosze. Mieszkamy na terenach, które są spuścizną niemiecką, spore są też wpływy czeskie. Historycznie jest więc to bardzo ciekawy teren, a do tego te góry, labirynty skalne, pałace, zamki, ruiny, szlaki spacerowe, trasy rowerowe, miasteczka z ciasną zabudową - jest tego naprawdę sporo i dlatego jestem fanem naszego regionu, który w mojej opinii jest wciąż niedocenianą polską perełką.

- Ponadto powstaje coraz więcej winnic.

- No właśnie! Istnieje Dolnośląski Szlak Piwa i Wina. Najbliższa nam winnica funkcjonuje w Świętej Katarzynie. Naprawdę sporo jest ich w okolicach Ślęzy i Sobótki, także na Wzgórzach Strzelińskich. Za te 40-50 zł możemy kupić butelkę dobrego, polskiego wina i przy okazji wesprzeć rodzimych winiarzy.

- Jesteś autorem mapy powiatu oławskiego, w której znajdziemy najciekawsze miejsca, ciekawostki, trasy piesze i rowerowe. Skąd pomysł na stworzenie mapy?

- Wspominałem już, że jestem fanem papierowych map, a brakowało mi takiego wydawnictwa, które opowiadałoby o naszej najbliższej okolicy. Dodatkowo wybuchła pandemia, więc dalsze podróże były wykluczone, co sprawiło, że jeszcze mocniej zacząłem eksplorować to, co mamy wokół nas. Połączyło się więc kilka czynników i pojawił się pomysł mapy. Bardzo bym chciał, żeby ktoś trafiając do Oławy trafił też w jakimś punkcie na moją mapę i dzięki temu mocniej zainteresował się okolicą. Gdy ktoś kiedyś pytał, co można zobaczyć w Oławie, to najczęściej słyszałem, że lepiej pojechać do Wrocławia. A ja chciałbym naciskać na tę lokalność. Wrocław jest super, ale tu w okolicy też można miło, przyjemnie i aktywnie spędzić czas. Poza tym jestem przekonany, że nie wszyscy mieszkańcy Oławy wiedzą, gdzie leży np. Maszków. A to zaledwie kilka kilometrów stąd. Nie chodzi oczywiście o to, by teraz każdy uczył się na pamięć nazw wszystkich okolicznych miejscowości, ale taką ogólną wiedzę warto mieć. I jak ktoś nas zapyta, skąd jesteśmy, to nie warto mówić, że mieszkamy pod Wrocławiem, bo Oława też brzmi fajnie, a nasz powiat naprawdę ma sporo do zaoferowania.

- Proces tworzenia mapy polegał na eksplorowaniu kolejnych miejsc i ostatecznym wyborze tych najciekawszych?

- Mapa jest zlepkiem subiektywnych miejsc, które lubię. Nie ma tam wszystkich, zachowałem trochę na potencjalne drugie wydanie i liczę też na inspiracje od innych ludzi. Przez całe życie

jeździłem na wycieczki rowerowe po lasach, polach i drogach powiatu. Zawsze interesowałem się historią poszczególnych miejsc, a podczas tworzenia mapy zacząłem jeszcze dodatkowo pogłębiać wiedzę, w niektórych przypadkach odświeżać wiedzę czy poznawać ją na nowo. Przy okazji robiłem zdjęcia, wyznaczałem trasy i w ten sposób powstała mapa.

- Byłbyś w stanie wskazać najpiękniejsze miejsce w powiecie oławskim?

- Z jednym będzie ciężko. Oławski Rynek zmienia się na plus, warto tu przyjechać i pospacerować po okolicy. Bardzo bym chciał, by można było z ulicy wejść na wieżę ratuszową, bo to jest świetna atrakcja, ale bez wcześniejszego umówienia czy wizyty w dedykowanych dniach, nie da się z niej skorzystać. Zwierzyniec Duży i okolice Odry to lokalizacje niedoceniane. Świetnym miejscem jest też Oleśnica Mała - pałac, historia z templariuszami, warto się tym zainteresować. Wspomnę też o lasach na północ od Odry, o Ryczynie, Bystrzycy czy Kotowicach z ciekawym mostem i wieżą widokową kawałek za naszym powiatem.

- Na koniec poproszę cię o dokończenie zdania. "Bez podróży byłbym..."

- ...mniej ogarnięty! Miałbym mniejszą wiedzę, byłbym uboższy w doświadczenia. W życiu nie do końca są dla mnie ważne sprawy materialne, mocniej stawiam na przeżycia. Bez podróży nie poznałbym też wielu ciekawych ludzi, nie doceniłbym samego siebie, Polski, Oławy i powiatu oławskiego.